



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Dobro i zło, piękno i brzydota, bogaćstwo i nędza, słowem — szczęście i nieszczęście, czarną i złotą nicią płaczą się na globie naszym od chwili, gdy pierwsze na nim pojawiło się życie, a już nie nam rzucać pytanie Twórcy, dla czego w tym długim pasmie tajemniczego przedziwa, tych nici o barwie smutnej jest daleko więcej, czasem tak dużo, że nieraz jasnym przeblysłom złota dojrzeć nie sposób. Patrząc jednak na tę odwieczną walkę Ormuzda z Arymanem, musimy z filozoficznym spokojem powiedzieć, że takiem, lecz nie innym jest prawo życia, że dzień z nocą, że zbrodnią cnota spotykać się wciąż muszą. I nie możemy przewidzieć, pojąć nawet tej chwili, w którejby ostatecznie królestwo Boże zapanowało na ziemi, i zdaje nam się, że ono nigdy nie będzie jej udziałem. Nie jest to jednak pesymizm, jako też twierdzenie podobne nie daje nam prawa do załamывania rąk bezczynnie i zanurzania się w beznadziejnym morzu rozpacz. Krokiem powolnym dążymy wciąż naprzód do piękna, dobra i prawdy, a jeżeli, tu, na ziemi, nie dotrzemy nigdy do ostatecznych ich granic — zło się zmniejszy, brzydota bezczelnie na światło dzienne nie wyrzy, lekkie kłamstwo z dotychczasowych dzierżaw swoich w mrok się usunie.

Któż będzie tak śmiałym, ażeby zaprzeczył postępowi ludzkości, dokonanemu już w wielu dziedzinach dobra? Średniowieczne tortury ustąpiły miejsca sprawiedliwemu wymiarowi kar; nielitościwy przesąd, oddający na męki niewinnych obłąkańców, jako nawiedzonych przez czarta, musiał się ugiąć przed olśniewającymi promieniami wiedzy; wojny dzisiejsze, przerażające jeszcze w grozie swojej, nie

wydają już jednak zdobytych miast na pastwę rozbestwionego żołdactwa. Łagodniejszą obyczaj, miłosierdzie coraz szerzej biegnie rozpościera skrzydła i ogarnia już niemi nie tylko królestwo człowieka. Oczywiście, że jak tylko spotężniały umysły a serca znaczały — człowiek nasamprzód zajął się sobą. Przed rozmaitemi instytucjami dobroczynnymi mającymi na celu przyjsie potrzebującym z pomocą — powstały szpitale, które, aczkolwiek z początku były przytuliskiem ubóstwa i nędzy, dziś są zakładami ogólnej użyteczności i człek zamożny nawet nie lęka się progów ich przestąpić, wiedząc, że tam znajdzie nieustanną pomoc lekarską, macierzyńską opiekę siostr miłosierdzia, potrzebny spokój, właściwe pożywienie, czujność i pilność, słowem, to wszystko, czego, przy najlepszych nieraz chęciach, we własnym domu i w otoczeniu rodziny — braknąć mu będzie. Wiemy, że jeszcze dotąd, pewien przesąd, tyżący się szpitali — panuje. Samo już brzmienie wyrazu: „Śmierć w szpitalu“ — równoznaczne jest z śmiercią nędzarza na barłogu. Niejedna rodzina oburza się na poddaną myśl odwiezienia chorego do szpitala: „Wystarczą nam jeszcze środki na leczenie domowe“ — w podobnych odpowiedzi wypadkach — zapominając, że nie o środki tu chodzi, lecz o ciągłą kontrolę lekarzy, o te zresztą higieniczne warunki, z którymi najlepsza wola, w domu nie na szpital przeznaczonym, rady sobie nie będzie dać mogła.

Ten szczepek jednak przesądu czy nierozumnego uprzedzenia, znika z dniem każdym. Pod tym względem wielki już przewrót został dokonany w umysłach ludzkich i nikt z rozsądnych, dobrodziejstwu urządzeń szpitalnych zaprzeczyć nie będzie wstanie. Pomyślawszy o sobie, ludzkość skrzydła miłosierdzia rozpoczyna dalej i ogarnia już niemi bezradny świat zwierzęcy.

Oto mamy przed sobą Odezwę warszawskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad zwierzętami.

„Kwestyą założenia stałej Lecznicy i przytułku dla pozbawionych ludzkiej opieki zwierząt, żywiej

zaczęło się interesować nie tylko Towarzystwo Opieki nad zwierzętami, lecz nawet i ogół. Najwyraźniejszym tego dowodem było życzliwe przychylenie się zebranych osób na ogólnym zebraniu tegoż Towarzystwa, co do zrobienia pocztużku zaprojektowanej na ten cel składki. Pomimo dość szczupłego grona obecnych, w kilka minut złożono rs. 58. Pocieszający to objaw — mówi odezwa — świadczący o rozwijaniu się poczucia prawdziwego humanizmu, obejmującego sercem wszystko, co cierpi, bo każde cierpienie ma prawo do naszego współczucia i pomocy.“

Od lat dwóch przeszło istniejące Ambulatoryum przy Kancelaryi Tow. Opieki nad Zwierzętami pociąga za sobą roczny kilkusetrublowy wydatek — kosztą te wzrastać muszą. Projektowany zaś przytułek nie mniejszej będzie wymagał summy. Do urzeczywistnienia projektu wezwana jest ofiarność ogółu.

Smutny ale prawdziwy obraz niedoli zwierzęcej, przedstawia odezwa w następnych słowach:

„Starego konia kalekę każdy usiłuje sprzedać, takiego zaś kupują najczęściej do prac bardzo ciężkich — i wtedy to właśnie rozpoczyna się epoka najdotkliwszej zgrzybiałości, epoka zaprawdę opłakana, uwidoczniająca cały egoizm i niewdzięczność ludzką. W ten sposób ludzkość daje im emeryturę. Im krzepszy był koń w młodości, tem dłużej on żyje, tem dokuczliwszą jest jego starość; z organizmu jego pozostają nieraz szczątki tylko. Wytarta głowa, oczy wyszłe z oprawy, doły po nich krwawe lub żrenice bielmem zasłte; straszne drgawki w nogach, przeróżne cierpienia nozdrzy, języka, płuc i t. d. wcale nie wpływają na miłosierdzie ludzkie, nikt nie myśli o uldze staremu koniowi, nadpalony czy dychawiczny musi robić swoje. Wtedy, kiedy zwierzęta są człowiekowi najużyteczniejsze, wyzyskuje je najwięcej, znęcając się i przeciążając pracą. Konia wyzyskuje się w pracy, a dzięki temu wyzyskowi, traci on siły, niszczy organizm, i wtedy zostaje odepchnięty od spoczynku,

choć do pracy już nie zdolny. Los starego psa nie rzadko jest podobny do losu konia: gdy ogłuchł, stracił zęby, wzrok i inteligencję, skazuje się go na tułactwo i śmierć głodową. W cywilizacji czy na stepie, głód reguluje stosunki życia. Tylko człowiekowi nie wolno być srogim i dzikim. „Niechże on z tych kapitałów olbrzymich, które mu wytworzyli jego niewolnicy, małeńkie bodaj części procentów użyje na polepszenie ich ciężkiego bytu.”

I cóż przeciwko temu powiedzieć? Chyba nie, bo, zaiste, opłakana jest dola konia i psa, gdy nie mogą już służyć człowiekowi, pierwszy dla jego materialnego dorobku, drugi dla rozrywki przeważnie. Godną więc jest uznania myśl projektodawców i zasługuje na wszechstronne poparcie.

— A jednak?...

Przyjaciel mój, z którym najczęściej gawędzić lubię, a zarazem i zwierzęt przyjaciel, zdziwił się moim niedokończonym: a jednak?.. W tem przerwanym jakimś frazesie dostrzegł chęć uczynienia przeze mnie jakiegoś zarzutu, jakiejś uwagi może, któraby w poprzek stała do dobrodziejstwa podjętej inicjatywy przez ludzi dobrej woli. Zdziwił się, bo znał dobrze czułe serce moje na widok każdego cierpienia, wiedział, że nawet w dzieciństwie nie byłem nigdy Tadeuszkiem, dręczącym niewinne muchy, że żadnego motyla na szpilkę nie wziętem, że nie będąc nawet członkiem Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, występowałem nieraz groźnie przeciwko furmanom bieżącym wielościewie konie, którym nadmiar ciężaru nie dozwalał pociągnąć wozu lub przeładowanych sani. Cóż owo: „a jednak?” znaczyć miało? — Oczywiście, że nie mieszkając zapytał mnie o to.

— Przed tobą tylko — rzekłem — mój przyjacielu, wypowiem myśli pewne, któreby przez innych byłyby albo źle zrozumiane, albo wzbudziły podejrzenie, że zamało są we mnie rozwinięte uczucia humanitarne. Tak jednak nie jest. Boli mnie niedola konia, lecz więcej boli niedola człowieka; niezarażoność głupiego zwierzęcia wymaga bezwarunkowo rozumnych istot opieki, lecz są wypadki, a wierz mi, zdarzające się zbyt często — że człowiek z matni losu, mimo swojego rozumu, wydzwignąć się nie może — i — jeżeli filantropia nie przyjdzie mu z pomocą — walka — nieznana ogółowi — kończy się, albo obłędem, który dopiero otwiera mu drzwi smutnego przytułku, albo szaleństwem rozpacz, prowadzącym nieśczęśliwca na dno wiślane. Mówisz o nędzy konia, a mi w uszach dzwoni ludzka nędza; mówisz o starganych siłach zwierzęcia w jarzmie pracy, a ja codziennie widzę pękające zasoby sił młodych w walce życiowej, zabijającą powszedniość, która pęta lot nieraz orlim skrzydłom. I co tu poradzisz, gdy, mówiąc o psie, człowiek staje przede mną?

Czy pamiętasz tę chwilę, gdy u nas tak głośno zagadano o potrzebie kasy zapomogi dla literatów? Jak się z tym projektem stało — nie wiem, ale głosy przeróżne były, nawet takie, które widziały dramaturgów u nas na edredenowych puchach śpiących.

Być może!

Ja spotykałem, łamiącą młodość i marzenia — biedę, a jak z tem się połączyła i niepokalana ucziwość, wstręt do wysadzania swych bliźnich z siodła — to i psia starość i śmierć okropną. Stoiemy więc przed obliczem dwóch nędz: zwierzęcej i ludzkiej, przed dwoma zadaniami filantropii: pomocy dla opuszczonego psa, konia i — człowieka... Przepraszam! chcesz mi coś na to odpowiedzieć — wyręczę ciębie: Człowiek może dać radę sam sobie, zwierzę nie może. Zgadza się, lecz to jest reguła, — mająca, bądź co bądź, bardzo dużo wyjątków. Nie jestem odpowiedzialny za konstrukcję swojego mózgu, nasuwającą mu jednocześnie dwie myśli: Mówisz o szlachetnej odezwie do ogółu, który ma przyjść z pomocą cierpiącemu zwierzęciu, — a mnie w umyśle druga rysuje się odezwa, któraby wezwała ogół do zebrania funduszu, od którego wzięty odsetek zapobiegłby literackiej nędzy. Nie rumieńcie się szlachetne czoła, należące do tego bractwa; zrozumianem jest dumne milczenie wasze, wyzwanie na rękę losu, łamiąca życie walka i ciche konanie. Dla was, choć bez waszej wiadomości, dobroczynna dłoń filantropii powinna się otworzyć. Często pomoc, niewielka na pozór, przez szczęśliwców niezrozumiana nawet — wielkich

dokonać może rzeczy. Co to za pomoc i jakie to są rzeczy — zaraz ci na przykładzie pokażę.

Stawiam przed tobą pracownika pióra, kandydata nauk filologicznych. Szewc szyje, kowal kuje — ale ten ma sobie właściwy warsztat. Jest najstarszym z rodziny, naturalnym więc opiekunem matki chorej i kilkorga drobnego rodzeństwa, którego byt przyszedł zależy od skończenia szkół, lub zakładów rzemieślniczych. Warunki są takie, że rzeczony X. (a zdaje się, iż te warunki są nam znane) pracą pióra zarabia na utrzymanie siebie i rodziny — rs. 1,000. Ta summa może opędzić *minimum* potrzeb — lecz ona mu wystarcza, pozwala spać spokojnie, pracować z myślą swobodną i ludzić się nadzieją lepszej przyszłości. Nie wchodzimy w powody: choroba, nieogłędne poręczenie za przyjaciela, który zresztą równie podlega różnym wypadkom — postawiły opisywanego X. w konieczności zaciągnięcia trzystu-rublowego długu. O pewnym nawet odsetku od tej summy nie wspominam — przyjmuję liczbę okrągłą — 300. X. jest człowiekiem rzetelnym, należność w ciągu roku spłaca. Z zapracowanych 1,000 rubli, pozostaje mu na całoroczne utrzymanie siebie i rodziny rs. 700. Lecz jednostka z trzema zera mi opędzała *minimum* potrzeb — brak trzech setek dopełnić by musiał. Zaciąga się dług więc nowy, corocznie spłacany i zaciągany corocznie, a broń Boże, nieprzewidywanej, lecz możebnej klęski jakiejś w rodzinie — dług się powiększyć musi, zarobek zaś zostaje w jednej mierze. Przybywa trwoga, niepokój, skotałanie myśli i cały szereg cierpień, płatów się o bardzo smutnem nieraz zakończeniu. Dobroczynna instytucja jakaś, przybawająca w danej chwili z 300 rublową pomocą, rozłożoną na jak najdłuższe i jak najmniejsze raty — ratuje człowieka, — nie dość na tem — ten człowiek może jest pożyteczną jednostką ogółu, może nawet w żołnierskim tornistrze swoim i marszałkowską buławę nosić. Na teraz jednak dość mi, że — pracuje i — cierpi.

Z setki przykładów wybrałem ci jeden — najskromniejszy. Niedole podobne nie skaczą ci do oczu — bo noszą szatę wstydu; o tem tylko dowiaduje się bliski sercu przyjaciel — prócz wątych słów nadziei, nic innego dać nie mogący. Czuły jestem tedy na dolę konia i psa — ale pierwszeństwo komu innemu dać muszę. Dla tego rzekłem: „a jednak?” uznając zupełnie szlachetne intencje Komitetu Towarzystwa Opieki nad zwierzętami.

— Ofiarności ogółu psiej i ludzkiej zaradzi niedoli.

— Mylisz się! — Nie żądam tego nigdy, co jest nad siły. Zło być musi i nędza być musi. Są tylko dwie biedy: bliższa i dalsza. — O której naprzód pomyśleć potrzeba — daj mi odpowiedź!

Rozstaliśmy się. Ja wyszedłem na miasto. Na jednej z ulic spotkałem przytulonego do muru kota. Wynędzniały był i prawie pozbawiony owłosienia. Kupiłem w sklepie kawałek kiełbasy i dałem mu — zjadł z całą żarłocznością zgłodniałego zwierzęcia. Wtem zbliżyło się do mnie chłopię jakieś — i szeptać nie śmiało:

„Panie — jeść”

Spojrzałem — skóra i kości, głód siedział na ustach drżących i w oczach zapadłych. Nakarmiłem i tego.

Nazajutrz zapomniałem o kocie, a wynędzniałe dziecko było wciąż obecne mojej pamięci. Kota nie szukam — zgłodniałego wyrostka odnaleźć muszę — i znajdę.

Nie chce by słowo moje opacznie były zrozumiane i powstrzymały ofiarności na rzecz przytułku dla zwierząt. Tej myśli nie miałem — potrafiłem tylko myśl dawną pomocy dla pracowników pióra, czyli — że koszula bliższa jest zawsze ciała.

Przejdźmy się po mieście.

Wyludniło się trochę — wiem o tem; znajomych twarzy coraz mniej się spotyka, a i te znikną niebawem. Wyruszają ludzie do morza i za morza, tym czasem na ich przyjęcie Warszawa się stroi; coraz nowe powstają domy, coraz gładziej stają się ulice, z dniem każdym zacieśnia się miasto i o puste place zaczyna być coraz trudniej. Cierpią na tem *składnicy węgla*, usuwając się coraz bardziej ku dalszym granicom miasta.

W pewnym kłopotcie też zostają mieszkańcy śródmieścia. Z powodu braków piwnic, lub odpowiednich komórek, gdzieby można była na czas dłuższy przechowywać pewne zapasy węgla — zaopatrywano

się w ten produkt w pobliskich sklepikach, które z dniem każdym ustępują miejsca nowowznoszącym się domom. Lecz — potrzeba tworzy wynalazki. Okoliczność powyższa poczyniła wpływ na reformę handlu węglanego. Na wzór dostawianych do mieszkań produktów spożywczych, mleka np. — składy położone na krańcach miasta zaczynają wysyłać wozy ze skrzynkami opłombowanymi, zawierającymi pewną ilość węgla w koreach i półkoreach. Rachunki uregulowują się miesięcznie lub półmiesięcznie, a tak jest wilk syty i koza cała. Sposób powyższy z natury rzeczy rozpowszechnić się musi, a małe składy w śródmieściu stracą ostatecznie rację bytu.

Spłynęły wianki, z niemi upłynął miesiąc róż i słowików, któremi tak bardzo, my, mieszczuchy, nasycić nie mogliśmy się — natomiast przybyła przeprowadzka Święto-jańska, drugotanie przewożonych mebli i bliższe rozpatrywanie się w nowozajętych lokalach. Nie zazdroścę tego *evenementu* mieszkającemu przy ulicy Marszałkowskiej, która, jakkolwiek ludzi nadzieją dobrej i cichej jazdy w niezbyt dalekiej przyszłości, obecnie — począwszy od Ogrodu Saskiego, a skończywszy na Siennej — przedstawia obraz zniszczenia, widok jakiegoś rumowiska ocozm nie miły, a nogom we znaki się dający. Cała ta przestrzeń skopana jest i poryta, szeregi beczek z opróżniającymi się zapasami cementu, tamują przejście w poprzek, jeżą się stosy cegiełek drewnianych, które lada chwila w wygodny bruk się ułożą. Tym czasem jednak ani zajechać, ani skręcić wozem nie można; jak więc sobie radzą ci, którzy opuścić dawne mieszkania muszą, a przenieść się na nowe siedziby — nie wiem doprawdy, lecz jeżeli każda przeprowadzka niemiłe wspomnienia pozostawia po sobie, to obecna z pewnym tragizmem graniczy.

I kiedyż się ta niedola skończy? Zarząd tramwajów, mimo polecenia magistratu, dość powolnie układa szyny, powolnie więc też układają się kostki pod bruk drewniany, ludzie po nierównościach chodzą powolniej, a w razie deszczu grzęzną sobie w rozmokłej glinie, albo utykają w jamach nadwężonego chodnika. Cyklistom natomiast ślinka do ust napływa, że będą mieli doskonałą uliczkę do jazdy i wywracania koziółków.

Najważniejszym jednak wypadkiem chwili bieżącej jest założenie kamienia węgielnego pod gmach wspaniały, który w niedalekiej przyszłości będzie jedną z ozdób Warszawy. Gmach ten stanie na zbiegu ulic Mokotowskiej i Polnej, a będzie to dom, w którego murach pomieści się szkoła techniczna, prowadzona przez b. profesora instytutu górniczego w Petersburgu, inżyniera Mittego.

Nie obey, zdaje się, są czytelnikom naszym ofiarodawcy funduszu na rzecz tej jedynej w naszym kraju instytucji naukowej; złożyli go członkowie rodziny Wawelbergów, dla uczczenia, tym pięknym uczynkiem, drogiej pamięci założyciela znanego domu bankowego H. Wawelberga. Mecenas Stanisław Rotwand, imieniem ofiarodawców witał przybyłych na uroczystość założenia kamienia węgielnego, dyrektor Mitte odczytał akt ośnośny, który obecni podpisać, poczem akt włożono w szklane naczynie, mieszczące egzemplarze dzienników i wzory monet. Słój, umieszczony w puszcze miedzianej, zalutowano i wpuszczono do przygotowanego otworu w podwalinie gmachu. Po dokonaniu tej czynności udano się do bliskiej szopy, zamienionej chwilowo na bufet, gdzie pito zdrowie ofiarodawców i kierowników szkoły.

Gmach szkolny składać się będzie z okazałego frontonu, dwóch skrzydeł i oficyn. Oprócz klas, kancelaryi, sal rekreacyjnych, biblioteki, będzie mieścił pracownię chemiczną i fizyczną, warsztaty mechaniczne a także mieszkanie dyrektora, inspektora i niższych oficyalistów.

W ostatnich dniach bieżącego tygodnia zaszedłem do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie w danej chwili króluje Witkiewicz. Dziwny to człowiek, dziwny pod względem różnorodności swojego talentu. Samodzielny, śmiały a na wskroś oryginalny przedstawił się nam, jako krytyk; w dziele swoim „Na Przełęcz” okazał się niezrównanym prawie pisarzem, w oglądanych obecnie obrazach, ujrzelśmy wybornego malarza. „Las smerekowy” owity w śnieżne szaty przy blasku księżycy łąni się igłami szronu, chłód fali tatrzańskie-

go jeziora czujemy w obrazie drugim, jego „Wiatr halny” wieje, tak jak śnieg świeci a fala szumi. Przechodząc dalej zwracają naszą uwagę dwa portrety niewieście Andrychiewicza, z licznych zaś obrazów Aleksandra Świeszewskiego, malowanych bardzo pięknie i z wielkim poczuciem prawdy, „Cmentarz żydowski” prym trzyma. Slicznym a oryginalnym w kompozycji rysunkiem — jest „Wieczór” Pankiewicza. Mgły osnuły widnokrąg, mgły gęste, nieprzeniknione prawie, wszędzie szaro i szaro, kontury drzew zaledwie się zarysowują i bladym cieniem rozplywają się w spokojnej szybie wody. W ciętych falach widzimy odbicie jakichś światła dalekich i nie, nie nadto. Pokonano olbrzymie trudności a rzecz cała może nie narzuca się oczom widza — uważny jednak badacz przyrody, obserwujący nieraz mgły podobne — gęstością dotykane niemal: Ach! jakie to prawdziwe! wykrzyknąć musimy. Lecz oto zatrzymują nas „Figlarze” Antoniego Kamieńskiego, — rysunek kredkowy. Cmentarz, u grobu postać kobiety, u muru starzec oparty; kogoś płaczą, po kimś ręce łamią rozpacznie. To figle śmierci, która siedzi na uboczu a do tej mary strasznej podbiega Kupido — figlarz drugi. Śmierć i miłość — są to największe psotnice na świecie. Pierwsza zabiera, druga tworzy życie, lecz czasem i ta druga zabija. To też się zeszły na cmentarzu i nad przyszlęmi naradzają się psotami.

Temat dla poety.

Przechodząc od obrazu do obrazu, po raz pierwszy spotkałem się z nazwiskiem malarza Galimskiego. O ile wiem, to pochodzi on z Kijowskiej gubernii i (jeżeli się nie mylę) studia odbywał w Akademii petersburskiej. Z krytyką jego krajobrazów nie spotykałem się w żadnym z pism naszych: może pominięto go milczeniem jako *hominem novum*, może wystawione obrazy nie zyskały naszej krytyki uznania, a może — co winą jest już moją, przeoczyłem jednak Galimskiego warte są wspomnienia i mimo przeważnie szarego kolorytu — nie bardzo lekają się sądu. Jego krajobraz o skałach porwanych, z olbrzymią perspektywą na ciągnące się przestrzenie równin podolskich, usianych gdzie nie gdzie drzewami — jest doskonałym. Wzrok ginie w kilkumilowym oddaleniu, dosięga krańca horyzontu, który się łączy z szaroomgłonym niebem. Równie pięknym jest wschód księżyca, lecz szczególną uwagę moją zwrócił widok stawu robionego z góry. Widzimy tu tylko przestrzeń wody pod sobą, wdali drzewa lasu czy parku. Na szybę szklaną patrzymy przez górne konary drzewa, na jednym z nich siedzi ptak nocny — sowa. Nieba nie widać — lecz jego odbicie wraz z księżycem — widzimy u stóp swoich; blask miesięczny nie ślizga się po wierzchu fali, lecz w ogromnej świeci głębinie w otoczeniu srebrzystych obłoków. Mnie zachwycała ta szyba wodna — i to odbicie światła w głębi. Nie podobały się natomiast dwa portrety p. Boznańskiej: mężczyna z psem u nóg, który dziwnie zamazanie wygląda, jak i kobieta w pasowym stroju, podobna trochę do wiedzy makbetowej, robione rzutami pędzla, śmiało może, lecz niedającami złudzenia, że patrzymy na żywe i rzeczywiste postaci.

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Orzelińska pochłonięta prawie temi samymi myślami, przyciska dłonią płonące czoło. Gdyby ten ból uśmierzył!

— Biada mi, biada! — szepce cicho i czuje w sobie piekło całe mak i wyrzutów. — Oleś, to ukocha-

ne, pierworodne dziecko, Oleś zgubiony! Któż winien, jeśli nie ona? Nie umiała wychować go, ona, matka!

Zaciska zęby aby nie jęknąć głośno, nie wybuchnąć łzami bezmiernego żalu i głuchej bezsilności.

— Chciałam... — mówi, jak gdyby sama przed sobą usprawiedliwić się z winy swojej potrzebowała, — chciałam uczynić z niego człowieka. Cóż, kiedy najlepsze chęci niweczyła niepraktyczność, dziwne jakieś niedołęstwo. Byłam i jestem jak ów ociemniały, co szukając po omacku drogi potyka się co chwila.

Gorzkie łzy spłynęły po jej twarzy. Nie była zdolną panować nad sobą. Tak ich kochała i tego męża lekkoducha i te dzieci dla których gwiazdę ściągnęła z nieba.

I gdyby kto był jej dawniej powiedział, że jest niedobrą żoną, niedobrą matką byłaby się rozśmiała z niedowierzaniem. Kochała, cały świat widziała w ukochanych, to dosyć. Zapóźno się przekonała, że chcąc umieć kochać, trzeba umieć myśleć, trzeba po za miłością widzieć surowe, nieubłagane obowiązki. Jej się zdawało, że jak strumień kryształowy w jej rodzinnej wiosce wśród łąk kwiecistych płynie, tak i życie popłynie gładko, przyjemnie.

— Wychowałam się w pudełku jak klejnotek jak... — przypominała sobie, poddając przeszłość refleksji, analizie tak drobiazgowej, że prawie na atomy rozdrabniała rzecz każdą. — Rodzice przypuszczali, że i życie obejdzie się ze mną jak z klejnotem. Matka tak dbała zawsze o moją cerę, bujne, miękkie włosy, zręczną figurę... a myśli nie budził nikt...

Porwał ją śmiech konwulsyjny, wstrząsający.

Zosia przerażona poskoczyła ku niej.

— Mamo, mameczko! — prosi, obejmując łkającą. — Co się stało? Co to?

Ale Orzelińską zmogła już długa z sobą walka. Odkąd to już ona targa się i szamocze z tem głęboko wkorzenionem przeświadczeniem, iż tylko ona jest powodem nieszczęścia, z Olesiem jak i ze wszystkimi. Krasnohorska i tyle innych kobiet — powtarza sobie zawsze — owdowiały w smutnych i krytycznych okolicznościach, a radzić sobie potrafią i dzieci umiały wychować i względny spokój mają. Czemuż to?...

Przypomina jej się kilka zdarzeń z niedalekiej przeszłości. Szyła bieliznę do magazynu i z początku byli z niej zadowoleni; aż oto dnia pewnego, właścicielka magazynu obrzuca ją gradem wyrzutów niezadowolonych.

— Pani się zdaje, — mówi, — że wieś twoja stoi za tobą, że cię kto jak dziedziczkę traktować będzie... Nie tu pani arystokratyczne miny nie pomogą. Dla takich wielkich dam, nie ma u mnie roboty.

Do dnia dzisiejszego nie wie wprawdzie za co ją wydalono, ale oczywiście powód jakiś bezwiednie dać musiała.

— Staraj się pani do sklepu z naftą firmy Nobel lub do sprzedaży wód gazowych, radził ktoś żyeliwy.

Rzecz prosta, że z rady skorzystała natychmiast.

— E, to nie dla pani z naftą mieć do czynienia... — powiedziano jej odrazu. — Jakżeby to pani w sklepie takim wyglądała. Ludziskaby myśleli, że jaka hrabina przebrała się na szynkę.

Nie pomogły prośby i przedstawienia.

Za to do sprzedaży wód gazowych bez trudności ją przyjęto. Było to w pierwszych miesiącach pobytu w Warszawie, gdy ze wsi przywiozła jeszcze świeżą i zdrową cerę, koralem zabarwione usta, bujny włos i kształtną figurę.

Ilu też to amatorów wody Selcerskiej, Emskiej, Vichy znalazło się w Warszawie. I woda i soki przedziwnego nabrały smaku. Z takich rączek... — powtarzano jej ze znaczącym spojrzeniem — nie dziwnego!

Zmuszoną była słuchać tych komplementów niemal codziennie, i rumieniała się przytem jak młoda dziewczyna.

Panowie przyglądali jej się wtedy z miną znawców.

— Mam chroniczną chrypkę łaskawa pani, — mówił pękaty jak antałek naczelnik z kolei, pijąc Emską wodę codziennie i godzinami przesiadując w sklepie. — Czy też ja pani nie przeszkadzam i czy

kiedykolwiek woda Emska posiadała taki upajający, narkotyczny smak...

Orzelińskiej krew biła do głowy z oburzenia. Jak on na nią patrzył!

— Jabył pania w ramki oprawił, — zapewniał gorąco młody gołowąs, syn właściciela domu, w którym sklep się mieścił: — Zkąd też pani do głowy przyszło wodę sprzedawać?

Po kilku tygodniach upokorzeń i męki usunęła się.

Ciężka dola! Trudne istnienie! A wszystkiemu winna jej niepraktyczność. Wprost nie umiała wdać zastosować się do warunków. Tu była za wielką panią, tam zamiast energicznie ukarać zuchwałców, rumieniała się i blizką była płaczu.

Wypowiedzenie miejsca u Merkurego, zaliczała do klęsk prawdziwych.

Tam było jej względnie najlepiej. Odbiegała ją teraz przytomność na myśl o szukaniu nowego zajęcia, spotykaniu nowych twarzy.

I gdzie go ma właściwie szukać? Dokąd się zwrócić, co przedsięwziąć?

— Błędne koło... — szepce do siebie zdruzgotana. — Chaos w myślach, choroba w organizmie... Chyba się już nie wypłaczę. Sił mi brak.

Oczywiście z chwilą ustąpienia ze sklepu, dzieci przestają się uczyć. Co za rozpacz!

A do tego wszystkiego, ten Oleś jeszcze. W obec ciosu tego czuje się bezsilną.

— Niech mama odejdzie od okna, — nalega Zosia, walcząc mężnie z ogarniającą ją wzruszeniem. — Deszcz przecieka, wieje... Usiądzie mama przy mnie i porozmawiamy. Zaraz mi robota przedzie idzie... Już widzę, że prócz Olesia, coś jeszcze mamę zmartwiło. Prawda? Moja matusz serdeczna, kochana!

Przemocą prawie posadziła matkę przy stole, lecz spojrzawszy w światło lampy na twarz jej zmienioną, omal nie krzyknęła. A dziś rano jeszcze zdawało jej się, że matka znacznie lepiej wygląda.

— Niepocziwy ten Oleś... — wyrzekła z boleścią, nie mogąc się powstrzymać. — Wiedząc, jak mamie spokoju potrzeba...

Orzelińska spogląda na córkę wzrokiem jakby nieprzytomnym. Na zmiętej, wynędzniałej twarzy płonął teraz chorobliwy jakiś rumieniec.

— Nie miej do niego żalu, Zosiu. Do mnie raczej... — rzekła twardo. — Jam tylko winna, bom ja go zgubiła. Ja, matka rodzona!

Ostatnie wyrazy wyrzuciła z piersi szybko, z takim namiętnym wybuchem, że z sąsiedniej kucharki wypadła nagle przerażona Irenka i rzuciła się ku matce.

W Zosi zbudziła się energia.

— Co też to mama mówi... — zaczęła niemal surowo. — Doprawdy przykro słuchać. A wszystkiemu deszcz winien. Matuchna zziębła, przemokła, no, nie bez tego żeby się i w sklepie nie napracowała. Silniejszego by zmogło. Należ Irenko gorącej herbaty i zaścielić łóżko. Jeśli jutro będzie niepogoda, poproszę, aby mnie w zastępstwie mamy przyjęli... Dobrze?

Uśmiechała się zbłądłymi usty i żartowała w trwodze najwyższej o matkę.

Oslabioną, zbolaną ułożyły wreszcie w łóżku obie z Irenką.

— Spać, odpoczywać, o niczem nie myśleć... — mówiła Zosia, całując jej ręce i otulając kołdrą starannie.

— Wszystko się jeszcze zmieni na lepsze, Oleś się poprawi... On ma kochające, dobre serce... Tylko nie trzeba na duchu upadać.

— Łatwo ci to mówić... — sarknęła Irenka. — Życie jest takie okropne... Ludzie tacy zli...

— Już zaczynasz? — napomniła ją siostra. — Idźże się ucz lepiej, moja droga. Ani o życiu, ani o ludziach nie jeszcze nie wiesz, boś na to za młoda.

— Bywa i tak, że młodzi lepiej widzą, niżeli starzy... — mruknęła niechętnie dziewczyna. — Nie noszą przynajmniej okularów...

Zosia patrzyła na nią ze smutkiem. Ładna twarzyczka dziewczęcia uderzała przedwczesną dojrzałością.

Widać było z jej głębokich oczu, dumnie zarysowanego czoła, że dziecko to wcześniej zastanawiać się poczęło i wcześniej dojrzało.

Irenka w swoich trzynastu latach z pewnością głębiej i więcej myślała, niżeli to zwykły czynić panny w dwudziestu nawet.

Lecz myśli te były niezdrowe.

O! nieraz trwogą nawet przejmowały i matkę i rodzeństwo.

Praktyczny Wacek, którego już bieda hodowała, ciągle staczał z siostrą walki.

— Głupiutka jesteś!...—mówił jej wręcz, gdy rozwijała przed nim najsłabszym pesymizmem zastrute poglądy.—Gąsiał! Bardzo sprawiedliwy jest podział na świecie: każdy niemal dostał po parze rąk do pracy. Narzekać mogliby ci, którzy mają sparaliżowane, lub coś podobnego.

— Są tacy przecie co nie pracują i ręce posmarowane *cold cream* noszą w rękawiczkach do łóżka nawet...—upierała się Irenka. — A zobacz ręce naszej mamy. Czy to ja nie pamiętam, jakie miała delikatne, bieluchne a teraz...

Tu rozumowania Wacka błakać się poczynają.

Oczywiście byłby wolał, aby te ukochane ręce matczyne pozostały zawsze białe i delikatne. Ale w sklepie trzeba niejedno zrobić, i waży się i nasypuje w torebki rozmaite rzeczy, więc ręce niszczą się przy takiej pracy.

Nie chciał przecież uznać się pokonanym.

— Widzisz, sroczko,—odzywa się z miną mentora,—to powinno być tak: matka, która ma takiego dużego syna jak nasz Oleś na przykład, powinna mieć zawsze delikatne ręce. Taki dorosły mężczyzna nie powinien pozwolić matce pracować, rozumiesz? Jabym nie pozwolił i zobaczysz, niech no tylko dorosnę...

Dziewczę przyglądało mu się wtedy z dumą. Wacek najwięcej kochał z rodzeństwa. Imponował jej siłą i pięści i przekonani.

— Zebys ty wiedziała jak mnie się w *sztabie* boja...—opowiadał. Ho, ho! Nie mów nikomu, ale ci powiem w sekrecie, że nasz Oleś to baba. Słyszałem na własne uszy jak mu stróż głupstwa gadał, a on nie.

Irenka wpatrzyła się w niego ciekawie.

— A ty cobys zrobił?—pyta.

Chłopak pomyślał chwilę.

— To co innego...—mówi z rozmysłem.—Mnie... mnie uważasz, stróżby głupstwa nie powiedział... Nie śmiałyby i powiadam ci, zawsze jest bardzo uprzejmy dla mnie...

Dlaczego tak było, prawdopodobnie Irenka nie odgadła; nie mniej przecież patrzyła na Wacka z pewnem uznaniem i szacunkiem.

— Nie pójde wcale spać tej nocy,—odezwiała się stanowczo do Zosi, gdy pierwsze wrażenie przestachu o matkę ustąpiło.—Będę odrabiać lekcye na jutro i pojutrze czuwając, przy mamie.

Zosia oparła się temu stanowczo.

— Mizerna jesteś i potrzebujesz spoczynku,—rzekła.—Ja i tak siedzieć muszę, bo mam robotę pilną. Powiedz Waciowi, aby się nie upominał jutro o śniadanie do szkoły. Na całodienne wydatki mam zaledwie dwadzieścia kopiejek.

Dziewczynka spowaźniała.

— A mama? Co mama będzie jadła, Zosiu? Myślałam, że kupisz wino... Czy ty nie widzisz, jak mama źle wygląda?

Zosia ciężko westchnęła.

— Zdaje ci się...—odparła wymijająco.—Oczywiście po takim dniu męczącym i słotnym...

Irenka spogląda na leżącą z przymkniętymi oczyma matkę i w umyśle jej rodzą się znowu buntownicze myśli.

— Tyle zdrowych i szczęśliwych kobiet chodzi po świecie...—zaczyna zwykłą piosenkę, lecz Zosia zamyka jej usta pocałunkiem.—Kończ lekcye i spać idź, dziecko.

Mówi to z pewną, niedopuszczającą oporu stanowczością, którą Irenka zna już od dawna.

Milcząc, opuszcza pokój ale w zimnej kuchence gdzie kończą z Wackiem odrabiać wypracowania, puszcza wodze filozofowaniu.

— Uważasz, Wacku,—mówi z przejęciem,—po co my się właściwie uczymy?

— Jakto po co?

— Oczywiście. Albo my wiemy jak długo będziemy żyli? Stasia Rożniecka najpierwsza uczennica w klasie i z nagrodami zawsze przechodziła i cóż? Przed tygodniem umarła na zapalenie płuc... Phil! Warto się było uczyć.

Rzuciła pióro i widocznie pod wpływem tych myśli nie mogła pracować.

Oparła drobną twarzyczkę na ręce i z natężeniem dziwnem przyglądała się skąpemu płomykowi lampki kuchennej, który wskutek wiatru wpadającego niedomkniętem oknem chwiał się, drgał, to żywiej zamigotał, to jakby gasł powoli.

Jak bładą i zmęczoną wydawała się w tem pół świetle i jakie skupienie, powaga malowały się w jej rysach.

Była przytem niezwykle piękną mimo kształtów nierozwiniętych i lat dziecinnych prawie.

— Irenia okradła nas wszystkich...—śmiała się zwykle Zosia do matki.

Orzelińska uśmiechała się wówczas i przyglądała starszej córce z miłością.

— Dziękuj Bogu, za to co masz...—odpowiedziała jej razu pewnego, gdy Zosia w różowej perkalowej sukni i koronkowej budce stała przed nią powabna i uśmiechnięta.

Wnet jednak wzrok matki łzami się przyemił.

Jakaż bo przyszłość czeka tę piękną, dobrą dziewczynę dniami całymi pochyloną przy maszynie, pracy jedynie i kłopotom domowym oddaną?

Teraz już nie łudzi się biedna matka. Wie aż nadto dobrze, że nie wywalczy dla dzieci swoich stanowiska i dostatku do jakich nawykły.

— Jakaż jest pozycya w świecie takiej panny wykołonej z normalnych warunków...—szepce do siebie.—Jakaż to przyszłość ją czeka. Wszak tu po nią nikt nie zajdzie, ona nigdzie nie bywa...

Zosia o tem nie myśli.

I żadnych wymagań nie posiada, zapominając najczęściej, że jest młodą, że mogłaby się bawić jak inne i próżnować.

Zegar powoli 10 godzinę wydzwonił.

Zapędziwszy dzieci do spania, usiadła na chwilę przy matce.

Musi nareszcie dowiedzieć się, jaką niespodziankę los im znowu zgotował. Może znajdzie się jakaś rada...

Matka nie spała. Pierwszy wybuch rozpacz przemiął i pragnęła sama już teraz pomówić z córką, coś obmyśleć.

— Widzisz, kochanko, to było do przewidzenia,—zaczęła pierwsza.—Czy można wypełnić obowiązek jakiś, nie mając o nim pojęcia? Trudno mi było biegać szybko od faski z masłem, do worka z kaszą lub koszyka z pieczywem. Służące skarżyły się, że dużo czasu na czekanie tracą... Tak przypuszczam.

— I co? I co mam?

— Bóg widział, że starałam się...—szepnęła odychając ciężko.—Tylko mi tak jakoś nie idzie składnie...

Umilkła upokorzona.

Zosia pobałdała.

— Czy wymówiono mamie miejsce?

— Tak, dziecko! I ja się wcale temu nie dziwię. Trudno mi widocznie do nowych warunków naszego położenia przywyknąć. Nie umiem się w tej sferze pracującej obracać...

Uśmiechała się, lecz Zosia byłaby już już wołała.

Dziwne czynił ten uśmiech wrażenie.

— No, to jeszcze nie tak złego...—opanowując się rzekła.—Chyba i tak damy sobie radę. Każda rzecz najgorsza ma jednak swoją dobrą stronę. Mateczka wypocznie...

A jednocześnie myślała:

— Teraz już przyjdzie zginąć...

Orzelińska z wyrzutem wystąpiła.

— Moja Zosiu, taki wypoczynek w położeniu naszym, toż to śmierć głodowa... Na nie się nie przydadzą sztuczne wykręty. Ot, powiedz wprost lepiej, że musimy zmarnieć... Przy mojem zdrowiu, gdzie ja teraz co znajdę? Kto mnie zobaczy, zleknie się...

Miała słusność.

Schorzała jej postać nie budziła zaufania.

Zamilkły obie.

Wicher potrząsał ramą okna, deszcz bił o szyby.

W takich chwilach, które smutek rodzą i nieokreśloną trwogę, myśl o niepewnem jutrze występuje nadto wyraźnie. Gdyby tego dachu zbrakło im nad głową... Co wtedy?

— W ostateczności przyjmę pana Lubskiego z jego skrofulicznymi malcami, z uczernionymi wą-

sami i—sklepem pełnym zawsze pachnących, soczystych wędlin...—żartowała Zosia, usiłując za jakąbądź cenę oblicze matki rozechmurzyć.—To partyta nie do pogardzenia. Kamienica bez długów i sklep...

— Zosiu!—wybuchnęła z rozpaczą matka.

— Matuchna ma jeszcze pewne szlachetkie uprzedzenia...—żartowała dziewczyna.—Dla mnie one nie istnieją, gdy o spokój moich najbliższych chodzi...

Mówiła to ze zwykłą sobie energią, lecz wzrok odwróciła od twarzy matki. Czyste jej spojrzenie skłamać nie potrafiło.

Orzelińska konwulsyjnie przyeciagnęła ją do siebie.

Jakież to potworne, co ona mówi... Lubski człowiek prosty, gbur nieokrzesany, wdowiec z trojgiem dzieci, właściciel kamienicy wprowadzie w której mieszkają, lecz sam własnymi rękoma przyrządzający szynki i serdelki i panna Orzelińska... Cha, cha, cha! Do czego to już przyszło! Orzelińska! śmiała się znowu spazmatycznie nieszczęśliwa matka, Zosię śmiech ten ranił głęboko.

— Pójde po lekarza. Mieszka tu obok. Skoro mama taka niedobra... I czego tu się irytować? Wielka rzecz, że mam konkurenta rzeźnika. Kto mieszka na facyacie, nie może wymagać aby z pałacu w konkury przybywano. Oj matuś, matuś!

Całowała tkliwie ręce matczyne i uśmiechała się pogodnie.

Tak straciła wiarę w lepszą przyszłość i z taką rozkoszą poświęcały się dla nich.

— Zapomniałam o Doleckim—odezwiała się nagle matka.—Doleccy mają stosunki... Niepodobna aby coś dla mnie nie znaleźli...

Zosia projekt ten pochwyliła skwapliwie.

— Dolecka to przecież cioteczna siostra mamy? Pokrewieństwo niezbyt dalekie nawet... Nie odmówi chyba. No, ale na dziś dość już o interesach. Z pewnością wzruszenia te przyprowadzą mamę o gorączkę. Proszę zasnąć i o niczem już nie myśleć.

W pół godziny potem, Zosia stała przy balii, piorąc bieliznę. Nie przyznawała się nigdy przed matką, że tego rodzaju zajęcie raz na zawsze wzięła na swoje barki. Była to jednak oszczędność musowa.

Nad ranem, usłyszała dzwonek w bramie. To Oleś wraca.

Przycisnęła dłonią serce i czekała. Ile ją już ten marnotrawny chłopak też kosztował.

Na dole otworzono bramę, szmer rozległ się w uspięnej kamienicy.

Obtarła z wody ręce i wyszła z lampką do sieni. Schody kręte były, spruchniałe... Lękała się przytem, aby Oleś pukając do drzwi, nie obudził matki.

— Bodajto mieć taką pocziwą siostrę,—zawołał Oleś ujrzawszy ją.

Chciał objąć Zosię i pocałować, wysunęła mu się z ręcznie.

— Co to? Grymasy?—mówi, wchodząc za nią do kuchenki.—Akurat Ostrowski biadał dzisiaj na scenie: „oj kobietki, kobietki, kapryśnice, grymasnice...”

Żartował, uciekając jednak z oczami przed karcącym wzrokiem siostry.

Zosia stała przed nim wzburzona. Więc ten zniszczony, mizerny chłopak to jej brat? Ów Oleś ukochany, na którym spoczywały wszystkie nadzieje osieroconej rodziny?

Dreszcz nią wstrząsnął.

— Czy wiesz,—odzywa się bez namysłu—że postępowanie twoje jest niekzemne!

— Oo!—rozśmiał się Oleś.—Jak to było dramatycznie powiedziane!

Dobył z kieszeni papierośnicę, lecz Zosia wstrzymała go.

— Nie będziesz palił. Mama chora.

Oleś drgnął.

— Chora? Naturalnie zwykłe osłabienie i zmęczenie... Nie prawdaż?

— Wymówiono mamie u Merkurego miejsce. Zmarła się...

— No, u nas zawsze na nieprzewidziane przyjęmości liczyć można. Biedna mama!

Wydawał się stroskanym istotnie.

— Czy przyniosłeś co pieniędzy, Olesiu? Po opłaceniu mieszkania, zostałam przy kilkunastu kopiejkach... Mamie potrzeba kupić coś pożywnego... — mówiła Zosia mierząc brata wzrokiem wyrzutów pełnym. — A czy nie zastanowiłeś się też nad nierównym podziałem obowiązków naszych? Podczas gdy ty bawiłeś się, ja prałam bieliznę, po całodiennej przy maszynie pracy. Gdy ty wyrzucasz, trwonisz pieniądze, ja swoje oddaję, wyrzekając się wielokrotnie niezbędnych nawet rzeczy. Olesiu, czas bo nareszcie zastanowić się... Złą drogą idziesz i czyż sam nie widzisz, że wiedzie cię ona ku przepaści?

— Ale cóż ja takiego robię? — bronił się zmieszany. — Nie mogę przecie prać bielizny jak ty, ani gotować obiadów... Co zaś do pieniędzy... Czy pamiętasz, jakem się sprzeciwiał sprzedaniu Zambrówki? Pijcie teraz piwo, którego same nawarzyłyście...

Zosia rumieńcem się oblała. Dusił ją gniew i żal bezmierny.

Nie pierwszy to raz Oleś odzywał się w ten sposób.

— Mama postąpiła tak, jak uważała za najlepsze... — rzekła surowo. — Co tu jednak Zambrówka ma do tego, że ty trwonisz pieniądze, sprawiasz zgryzotę matce i grób jej przyspieszasz?

Oleś westchnął obłudnie.

— Cóżem ja winien? — szepnął. — Sam się nie wychowywałem... Zarabiam nie wiele; mam też swoje wydatki. Gdybym jak dawniej oddawał na potrzeby domu moją pensję, z pewnością tak mama jak i ty Zosiu, nie miałybyście mi nie do zarzucenia. Pieniądz bywa zwykle kością niezgody w rodzinie.

Odwrocił się do okna i zaczął odpinać krawat i mankiety.

Krawat był jedwabny, jasny, lśniący, spinki eleganckie, bielizna połyskiwała śnieżną białością.

Obok cylindra, który na stół kuchenny porzucił niedbale, wyszarzana, ruda od starości leżała czapeczka Wacia.

Na kuchennej blasze suszyły się podarte buty chłopczy.

Kontrast ten łzami oczy Zosi napełnił.

Ze wszystkich zgryzot jakie ją nurtowały, postępowanie Olesia wydało jej się największą, najboleśniejszą klęską.

— Patrz końca, Olesiu! — wyrzekła smutno. — Brnij dalej, aż zabrniesz tam, z kąd się już cofnąć nie można. Przeczuwa to serce moje, rozpacza nad tem matka. Czyż nie nie jesteś zdolny uczynić dla niej?

Głos jej przy ostatnich słowach drżał prośbą błagalną, tłumionem łkaniem i łzami.

Oleś wziął ją w objęcia.

— Nie płacz — prosi wzruszony — nie płacz Zochno... Ja wiem, ja czuję, że ty masz słusność, wiem, że mam pracować powinien, że macie pełne prawo wymagać ode mnie abym jako mężczyzna i najstarszy podźwignął rodzinę... Ale Zochno, potrzeba mieć na to więcej siły moralnej... W obec pokus wyznaje ci szczerze, słaby jestem jak dziecko... Ot i dzisiaj: szedłem do was z zamiarem oddania całej pensji. Wacek nie ma butów, Irenka chodzi w letniej okrywce, którą pewno z jakiej starej spódnicy matki przerobiłaś, bo wygląda jak średnio-wieczny antyk. Ja to wszystko widzę, odczuwam i jak powiadam, miałem szczerze postanowienie oddania wam pieniędzy... Licho kollegów postawiło na mej drodze i — przepadły piękne chęci i zamiary.

— Powinieneś kierować się rozsądkiem, — zauważyła Zosia. — Skończyłeś lat 19.

— Rozsądek? O, to ciężki pokarm do strawienia w moich latach właśnie, — uśmiechnął się Oleś — Nie nawykłem od dzieciństwa kłaniać się temu władcy a teraz kark mam już twardy... Od dzieciństwa byłem miękkim jak gąbka. Wsiąkało złe, mogło wsiąknąć i dobre... Czemu pierwsze się tylko przyjęło, sam nie wiem, dalibóg! I to jest prawdą, że mając taką anielską matkę, niezegom się nie bał, z nikogom sobie nie robił. To mi zaszkodziło trochę... Ale siostrę kochaną należy nam się spoczynek. Od pewnego czasu czuję się dziwnie osłabionym. Ot, siedzenie w mieście. Do swobody wiejskiej, do konia, duszą się wyrzyna. Tam

byłbym zdrowszym i — i uczciwszym — dodał szepem.

Zabrał swoje toaletowe drobiazgi i wsunął się za perkalową kotarę, gdzie łóżko jego stało.

— Dobrej nocy, Zochno! — wołał już z za firanki. — Dałabyś pokój temu praniu.

Po chwili leżał już w łóżku. Nie zasnął jednak od razu.

Zosia słyszała jak się przewracał i wzdychał. Niekiedy sam z sobą rozmawiał.

— Kasztan to tam już oślepił pewno, — mruzczał. — I Zulejka na łaskawym chlebie. Obiecał mi Marcin, że im nigdy sieczki do owsa dosypywać nie będzie... Ale czy to można wierzyć!

Po twarzy Zosi spływały łzy. Ginęły one niepostrzeżenie w rozmydłonej wodzie, w której niestrudzona dziewczyna zanurzyła znów ręce.

Zambrówka stała jej w pamięci jak żywa. I tak to wszystko co za sobą zostawiła drogą jej się wydało, jak gdyby wczoraj dopiero opuściła rodzinne gniazdo, grób biednego ojca taki teraz samotny, stary, zmurszały pałac w wieńcu lip i kasztanów, obrosły mchem i zielonym bluszczem i tyle, tyle pamiątek.

— To tak jak gdyby na warszawskim podwórzu zasadził kto len, czy pszenicę i kazał im rosnąć bez powietrza, bez słońca... — szeptała rozżalona dziewczyna. — Już się tam żadne z nas nie przyswoi na tym obcym gruncie. Jeden Wacek może... Dałby Bóg! O! bo ciężko waleczyć z przyzwyczajeniem, z tęsknotą...

Szary brzask jesiennego poranka udzielił trochę światła niewielkiej kuchence, gdy ostatnią sztukę bielizny ułożyła w koszu.

— Powieszę na górze, zanim mama wstanie, — rzekła. — Renia mi pomoże. Jakam ja zmęczona! Rzuciła się na łóżko w ubraniu.

— Oleś widocznie nic nie przyniósł... — było ostatnią jej myślą nim zasnęła. — Z czego ja obiad zrobię?...

W kilka godzin potem rozwiązała zagadkę, niosąc do lombardu jedyną porządniejszą sukienkę jaką w garderobie swej posiadała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 1-go Lipca.

Pomimo, iż z nastaniem wilegiatury i rychłych wakacji względna cisza zapanowała po nad Paryżem, sensacyjnych wiadomości i wypadków, nigdy nam nie zabraknie.

W połowie Czerwca, Senat zawotował większością głosów projekt przyszłej powszechnej wystawy, tej zimy zatwierdzonej przez izbę deputowanych. Obecnie pozostaje położyć pierwszy kamień, co ma się odbyć bardzo uroczyste w 14 b. m. jako w dzień święta narodowego. Zachodzi tylko pytanie: czy inżynierowie zdołają przygotować na ten dzień wszystkie plany.

W Izbie Deputowanych, z wielkim entuzjazmem przyjęło projekt przyłączenia do Francji Madagaskaru, oraz zniesienie w nim niewolnictwa. Kilku deputowanych, a szczególnie p. Le Myre de Vilers, protestowali za wprowadzeniem tych dwóch projektów od razu, malując niebezpieczeństwo naruszenia odwiecznych praw afrykańskiej krainy, większość jednakże poszła za głosem podniesionym na skrajnej lewicy, a orzekającym, iż „na ziemi francuskiej nie może być niewolników.“

Dziewiątego Czerwca przyszła też pod obrady izby deputowanych kwestya studentów cudzozi m. ców, postawiona przez profesora uniwersytetu, d-ra medycyny Lannelongue'a i deputowanego Berry. Obadwaj żądali, aby ministerium oświaty, wymagało od studentów cudzoziemców — powtórnego egzaminu na patent dojrzałości, oraz aby dyplom doktorski nie dawał im prawa praktykowania w granicach Francji, a tylko służył jako dyplom „czysto naukowy.“ Wielu deputowanych powstało prze-

ciwko temu projektowi, ze względu na interes chorych, dla których lepiej jest, kiedy jest większa liczba lekarzy. Minister Rambaud, oświadczył w bardzo uprzejmych wyrazach, iż Francya dumną być powinna z tego, iż cudzoziemcy biegają do niej po światło nauki. Co zaś do utrudnienia dyplomowanym cudzoziemcom praktyki we Francji minister nie powziął podczas obrad stanowczego zdania — przyrzekając jedynie zająć się zbadaniem całej sprawy należycie. Kwestya więc została dopóki rozwiązaną, a najciekawsza jej część będzie czekać dalszego postanowienia rządu.

Tragicznie zamordowany markiz de Morés, był redaktor dziennika France, stał się nie ledwie patriotycznym bohaterem.

Morés przed trzema miesiącami udał się do Afryki w celu porozumienia się z kalifem sudańskim, któremu chciał pomagać w walce z anglikami, czyli chciał pozostać agitatorzem politycznym.

Wyprawa jego składa się z 38 ludzi i 48 wielbłądów.

Wyszedłszy z Tunisu de Morés, dotarł szczęśliwie do wielkiej stacji Karawanowej w Gadames. Ztąd przez oazę Rat, Murzuk, Bork i Darfur miał się przedostać do Sudanu. Przebycie oazy Rat należy do najniebezpieczniejszych przedsięwzięć. Wielu uczonych podróżników straciło życie na tej drodze — wszyscy zostali zamordowani w podobny sposób jak niefortunny markiz.

De Morés jako dziennikarz, a z przekonania anarchista i antysemita, żył dawniej na szerokiej społecznej widowni. Miał wielu znajomych i przyjaciół. Miał też i nieprzyjaciół. Zbankrutowawszy na dziennikach, chciał szukać lepszej roli pośród dzikich plemion Afryki i znalazł śmierć, którą rozdmuchali dziennikarze, podnosząc na wysięgi niedoszłe zasługi bohaterskiego markiza.

To też dziś krąży o nim tysiące anegdotek po dziennikach. Jedną z nich, a nader sensacyjną, jest opowiadanie pani de Thébes sławnej na paryskim bruku chiromantki.

Rok temu doktor Tripier, podejmował swoich przyjaciół na obiedzie. Obecni byli doktorzy; Favre, Paquelin, Depoux, książę de Polignac, markiz de Morés, kilka dam a w ich liczbie pani de Thébes.

Kiedy po skończonym obiedzie, towarzystwo znalazło się w salonie, damy poprosiły panią de Thébes, aby im wróżyła z ręki. Z kolei i markiz de Morés, podał dłoń wróżbiarce.

Tutaj pozwolę sobie przytoczyć własne słowa pani de Thébes.

— Kiedy markiz de Morés podał mi swoją prawą dłoń, mówi ona, z przerażeniem ujrzałam na niej znaki tragicznej śmierci, którą markiz miał ponieść około 42 roku życia. Wtedy po chwili namysłu zapytałam pana de Morés.

— Czy mam panu powiedzieć wszystko co widzę?

— Bezwątpienia, bo inaczej cóżby znaczyła wróżba pani?

— A więc, markizie, masz na swej prawej dłoni, oznaczającą wolę, znaki niechybnej śmierci.

Śmierć ta zaskoczy pana w podróży własnowolnie podjętej. Przeciwnie zaś, na lewej dłoni oznaczającej przeznaczenie, nosisz pan oznaki zaszczytów długiego życia i zdrowia. Radzę więc panu poddać się przeznaczeniu, i nie wyjeżdżać nigdy w długą i daleką podróż.

Kiedym skończyła te słowa, powstała ogólna sprzeczka, za i przeciw podróży projektowanej przez markizka. Po chwili p. de Morés przeciął rozmowę, zwracając się do mnie:

— Złe się pani wybrała ze swoją przepowiednią, gdyż ja mam właśnie długą, daleką i niebezpieczną podróż przed sobą.

— W takim razie, odparłam, błagam cię, markizie, abys zaniecał tego projektu, inaczej przypłajesz to pan żyć.

Pan de Morés zamyślił się, a po chwili odrzekł:

— Wierzę w przepowiednię pani, gdyż jestem zwolennikiem chiromancyi. Jechać muszę — dzięki jednak przestrodze jaką od pani dostałem, postaram się być ostrożnym.

Tego wieczora widziałem pana de Morés po raz ostatni, ale słyszałam że kilkakrotnie powtarzał do znajomych moją przepowiednię. Kiedy więc dowiedziałam się o śmierci markiza zaszłej w warunkach przeze mnie przepowiedzianych, zwróciłam się z za-

pytaniem do doktora Tripier, czy mam powyższe zdarzenie publicznie opowiedzieć. Doktor mój zamiar pochwalił, a ja zaś dodaję jeszcze, iż w całym tem zdarzeniu widzę się narzędziem Opatrzności, która mnie postawiła na drodze markiza, aby go w porę ostrzedz. Niestety pan de Morés tej wyższej przestrogi nie posłuchał.

Rzeczywiście powyższe zdarzenie można nazwać szczególnym faktem. Szkoda tylko, że pani de Thébes nie dodaje ile razy zdarzyło jej zrobić podobną przepowiednię, która, na szczęście nie ziściła się wcale.

W ogóle trudno sobie wytłumaczyć powodzenie, jakim się cieszą zawsze wszelkiego rodzaju prorokini w Paryżu. Panna Couesdon, młoda czarnowłosa prorokini, nie małe dzisiaj budzić musi zajęcie, kiedy prasa nie przestaje się nią zajmować i interviewować. Niedawno temu kilku reporterów złożyło wizytę młodej wróżbiarce w celu dowiedzenia się czy prawdziwą jest pogłoską, jakoby ona miała wychodzić za mąż?

Zabawnem było przyjęcie dziennikarzy, kiedy powabna prorokini w towarzystwie papy, wysmiała natrętów, ciekawości ich wcale nie zaspokoila, natomiast pozostawiła wolne pole do domysłów.

W dalszym ciągu sensacyjnych wiadomości trzeba zamieścić morderstwo baronowej de Valley, córki hrabiego de Montbelle, ministra oświaty, potem spraw wewnętrznych i finansów za czasów Karola X, a zarazem jednej z najpiękniejszych i wpływowych kobiet za panowania Ludwika Filipa. Baronowa, niezmiernie bogata, wcześniej owdowiawszy, otworzyła swoje salony, do których uczęszczały najwybitniejsze osobistości artystycznego i politycznego świata. Przyczyniała się tu poniekąd jej ścisła przyjaźń z panią George Sand. Z wiekiem opanowała baronową szalał chciwość i brudnego skąpstwa, zmieniła potrochu swój zwykły tryb życia, nosiła się jak żebraczka i tak żyła w nędzy i samotności, opuszczona przez dawnych przyjaciół i znajomych, którzy się od niej ze wstrętem odsunęli. Odmawiając sobie wszystkiego zbierała miliony, jakie po jej śmierci przechodzą na kilku spadkobierców.

Zaznaczam też śmierć drugiej oryginalnej niewiasty a sędziwej filantropki, pani Henryjety Dimbourg, która ofiarowała w zeszłym roku na ręce Rochefort'a 100,000 fr. robotnikom z Carmeaux, na założenie na wspólną ich własność huty szklanej.

Naturalnie nie ofiarowanie tak znacznej sumy zwróciło powszechną uwagę, i od tego czasu pani Dimbourg odebrała nie jedną wizytę, lub prośbę o wsparcie, w swej skromnej willi w Billancourt. Zmarła filantropka liczyła 79 lat i pochodziła z bardzo biednej rodziny robotników. Pozostawiła po sobie nie wielki majątek, uzbierany jak i owe 100,000 fr. drogą oszczędności, z 35,000 tysięcy franków dożywotniej renty zapisanej przez brata. Był to niezmiernie rzadki i ciekawy typ kobiety wykształconej, a jednocześnie prostej—czyniącej wiele dobrego, a nie mającej delikatności uczuć ani serca dla swych najbliższych—a nadewszystko bardzo skąpej.

Wyszedłszy z gminu, pomimo zdobytej wiedzy i wysokiej inteligencji, była zawsze oschłego serca, opryskliwa i bezwzględna.

Z przekonania socjalistka, mieniła się być przyjaciółką Rochefort'a, nazywając go swoim przybranym synem. Jednocześnie pozostawała bez żadnej pomocy swoją biedną siostrzenicę, dla tego jedynie, iż ta nie zawsze się zgadzała z krańcowymi zapatrywaniami ciotki. Oto kilka szczegółów, które lepiej zcharakteryzują zmarłą przyjaciółkę Rochefort'a.

Posyłając sto tysięcy franków do biura gazety l'Intransigent, zapakowała bilety bankowe w małą płócienną walizkę, wartującą może około 2 franków, a której nie pomyślano nawet zwracać. Oburzona filantropka posłała wcale niegrzeczny liścik do Rochefort'a, upominając się aby jej walizkę zwrócono.

Lubiła i chowała kilku kotów, ale ich porządnie głodziła, co zresztą stosowała także do siebie i do swoich służących, obchodząc się z nimi nie po ludzku.

Pomimo tak widocznego skąpstwa, często pomagała potrzebującym większymi sumami, rozdając nie raz po kilka tysięcy franków.

Unosiła się nad każdym szlachetnym postępkiem, nad każdą wznioślejszą myślą, a jednak już na śmiertelnem łożu dokuczała pielęgnującej ją przy-

ciółce za to, że płukała szklanki w filtrowanej wodzie, przez co filtr psuła i zużywała.

Henryk Rochefort zajmował się pogrzebem i jest jej wykonawcą testamentowym. Ciekawem, będzie czy zmarła zapisała resztę pozostałego majątku przybranemu synowi i czy on z tego zapisu korzystać zechce.

Francya poniosła wielką stratę, umarł Juliusz Simon, a śmierć jego okryła żałobą tych, co nosili w sercach jednakowe z nim przekonania. Prawdziwe nazwisko zmarłego profesora, mówcy, ministra, deputowanego, znakomitego dyplomaty i filozofa było François-Simon-Jules Suisse.

Był to człowiek niezmordowanej pracy, na dwa dni przed śmiercią pisał jeszcze. Od trzynastego roku życia pracował na siebie, dając lekcje. Ukończył szkołę normalną w Paryżu i był ulubionym uczniem i sekretarzem Wiktora Cousina.

Po za swemi aspiracjami politycznymi poświęcił się głównie udokonałeni i rozszerzeniu szkół początkowych, zajmował się bezustannie losem i polepszeniem bytu rzemieślników, oraz popierał wiele spraw moralnej wagi. Oprócz tysięcy artykułów i studyów, umieszczanych po dziennikach, napisał wiele dzieł, z których następujące, doznały największego powodzenia: *Obowiązek, Wyrobność, Praca, Kara śmierci, Religia naturalna, Wolność sumienia, Kobieta XX wieku, Wspomnienia 4-go Września*.

Słowem był to człowiek czynu, wielkiej zasługi i przekonań niezłomnych. Z pochodzenia bretończyk, miał upór i wytrwałość tej dzielnej rasy, ofiarowawszy je na usługi swego kraju, najgodniej spełnił powołanie człowieka.

Z teatrów Opera Komyczna, Odeon, i Gymnase zamknęły już podwoje. Cluny i Theatre de la Republique grać będą do połowy, a Nouveautés do końca Lipca.

Opera, Komedia Francuska, Gaité i Châtelet pozostaną otwarte przez całe lato.

Paweł Ginisty i Antoine zostali dyrektorami Odeonu. Obaj znani i lubiani pracownicy na teatralnem polu.

Temi dniami wydano uroczysty bankiet na cześć Mounet Sully'ego po jego świetnej kreacji Hamleta.

Za każdym pojawieniem się na scenie w tej roli, wielki artysta wywołuje burzę nieskłamanego uniesienia. Trzeba też rzeczywiście potężnej dozy talentu, aby w całej sali wzbudzić tyle powszechnego entuzjazmu. Podczas sceny, kiedy Hamlet domaga się od królowej rachunku ze śmierci ojca, sala drży od tłumionego uniesienia, oklaski wybuchają namiętną burzą, kobiety powiewają chustkami, mężczyźni wznoszą do góry kapelusze, a z tysięcy piersi podnosi się jeden okrzyk: *bravo Mounet!*

A jednak ten uwielbiany dziś artysta powoli zdobywał laury sławy. Nie cały dziesięć lat temu, miał on pewną grupę nieprzychylnych, którzy nie mogli mu przebaczyć romantycznego zaczesania włosów, dramatyczno-lirycznych porывów—przesadnych ruchów i t. p. ekscesów. Dziś zwyciężył artysta na wszystkich liniach, gdyż potrafił narzucić i nauczył rozumieć siebie. Dziś nikt mu się nie może oprzeć, za to wielu, a szczególnie koledzy na niego narzekają, a prawda wyznacza że po części słuszność mają. Wielki artysta jest nieraz niegrzecznym ekscentrykiem.

I tak koledzy nie mogą mu darować, że się na próby stałe o parę godzin spóźnia,—co mu bezkarnie uchodzi, podczas kiedy regulamin Komedyi Francuskiej do nich bywa w inny sposób zastosowany—dalej, że przedłuża antrakty, nie sobie nie robi z dyrektora, a z aktorami niekiedy brutalnie się obchodzi. A wszystkiemu temu winną jest ta okoliczność, iż Mounet Sully uważany jest za istotę wyjątkową, której wszystko wybaczonem być musi.

Opisując w zeszłych korespondencyjach artystyczne wystawy pominąłem bardzo interesującą wystawę konkursową *Sztuk dekoracyjnych* urządzoną w Pałacu Przemysłu. Komitet wystawy złożony jest z dam, do którego należą panie ze świata arystokratycznego, artystycznego i urzędowego z prezydentową Faure i jej córką Lucyą na czele. Wystawa i konkurs mają na celu rozwój artystycznego wykształcenia i smaku w pracownicach, wykonywających rozmaite przedmioty służące do ozdoby mieszkań. Są tu prześliczne, haftowane serwetki, patafarki, koszyczki, poduszeczki, abażury, parawa-

ny, patery, pudełka, przyeiski i t. p. drobiazgi, wytwornie i ze smakiem wykonane. Podniesienie i udoskonalenie tych działów pracy kobiecej, ułatwia konkurencyę wyrobom francuskim z zagranicznymi, a tym samym podnosi dobrobyt kraju.

Ruch literacki ciągle bieży jednakowo we Francji i potrzebował by nieustannej, a czujnej baczności, lub stałego przeglądu nowo ukazujących się dzieł. Ponieważ to nie jest zadaniem „nowin” przeto mogę tylko od czasu do czasu pomówić o tem. Dziś właśnie załączam krótki przegląd nowych literackich utworów, przychylnie przez tutejszą krytykę przyjętych.

Trzeci tom pamiętników Rochefort'a wzbudził tu rzeczywiste zainteresowanie, obrazowem i zajmującym opowiadaniem autora o przygodach jego ucieczki z Nowej Kaledonii.

Nowa serya *spowiedzi* Coppégo, to idylla prostoty i wdzięku poetyckiego.

Ogromnem także powodzeniem cieszy się dziełko i ostatni tom dziennika Edmunda Goncourt'a zawierający na każdej stronnicy ciekawe spostrzeżenia i wierne, a głębokie scharakteryzowanie rozmaitych wybitnych osobistości obecnej doby. Trafność uwag i głęboka obserwacja czynią to dzieło prawdziwie historycznym, cennym nabytkiem.

Ateusz Jules Brisson'a wzbudził żywą polemikę krytyków.

Autor nazwał dzieło studjum dramatycznym, opisując jasnym i potężnym stylem skutki bezbożnego wychowania. Jest to silny i wstrząsający dramat, gdzie uczony alchimista wychowuje syna w materialistycznych doktrynach i czyni z niego moralnego potwora.

Przewodnik po zamku Chantilly, wydany przez Gueyer'a, zaznajomił publiczność z cennymi skarbnicami pendzla i białemi krukami, zebranymi pośród dzieł olbrzymiej biblioteki.

Książę d'Aumale zapalony bibiofil i wielki zwolennik dzieł sztuki, w ciągu szeregu lat zgromadził drogocenne i niezrównane unikatki, wartość których wraz z zamkiem oceniają na pięćdziesiąt milionów franków. Obecnie zamek i wszystko, co się w nim znajduje, zapisem księcia d'Aumale stało się własnością narodową.

Tych kilka wymienionych dzieł, oto najlepsza zdobycz ostatniej doby—wiele zaś romansów i powieści, ukazujących się co chwila na półkach księgarskich, nie zasługuje na wyróżnienie, a tembardziej na zapoznanie się z niemi bliższe.

C. H.

PRZEGŁĄD PIŚMIENNICZY.

(Quo vadis, najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.

(Dokończenie).

Bohaterką powieści jest Lygia, niegdyś zakładniczka, córka zwyciężonego króla lygów; występuje ona przed nami już jako chrześcijanka w roli bardziej biernej, niż czynnej wyobrażając temsamem przeciętną ówczesną kobietę, przejętą zasadami nowej nauki. Jest ona właśnie tą osią, około której krąży i rozwija się fabuła w utworze, dzięki czemu rola jej jakkolwiek bierna jest atoli pierwszorzędnej wagi. Wogóle należy zaznaczyć, że wszystkie inne w całej powieści postaci niewieście bądź dodatnie, bądź ujemne zarysowane są dość pobieżnie bez silniejszego wypuklenia i wszystkie one schodzą na plan dalszy nietylko ze względu na rolę, którą im autor wyznacza, ale i ze względu na obrobienie artystyczne. Pomponia Graecina, pocziwa Akte, niegdyś ulubienica Nerona, wreszcie słynna Sabina Poppea są postaciami naszkicowanymi tylko bez silniejszej kolorystyki, a jednak ta ostatnia postać mogła być posłużyc autorowi jako przepyszny model do obrazu.

Natomiast na pierwszy plan ze względu na doskonałą charakterystykę występuje świetnie skreślony typ Chilona Chilonidesa. Syn greka i żydówki, pogardzany i lekceważony przez wszystkich, żyjący w niedostatku, wyzuł się z resztek zacniejszych

uczucie i stał się doskonałym okazem niezmiernie przebiegłego łotra, chciwego na pieniądze, przytem tełhórz a niby-filozofa z zabarwieniem humorystycznym, bardzo wymownego i posługującego się chętnie sofizmatami, gdy idzie o zdobycie grosza, uratowanie siebie lub wykonanie nieuczciwego planu. Chilon służy najpierw Viniciuszowi, pomagając mu dzielnie do wykrycia schronienia Lygii, następnie, obity przez niego, postanawia się zemścić, obwiniając przed Neronem chrześcijan, Viniciusza i wydając Lygię razem z jej współwyznawcami w ręce zbirów cezara, który go za to hojnie wynagradza. Atoli staje się wkońcu fakt nie do uwierzenia: ów spodlony grek na widok ciągłego rozlewa krwi chrześcijańskiej w cyrku, wobec strasznych męczarni swych ofiar, przebacza mu w chwili śmierci, uczuwa wyrzuty sumienia, a pod ich wpływem sam staje się chrześcijaninem i ginie na krzyżu śmiercią męczeńską. Zdawałoby się pozornie, iż podobna metamorfoza w duchu naszego bohatera jest niemożliwą; istotnie, czyniłaby ona niewątpliwie wrażenie nieprawdopodobieństwa, gdyby nie była uwydatniona ręką takiego znawcy ducha ludzkiego i artysty, jakim jest Sienkiewicz. Chilon nawraca się niemal nagle, stanowiąc pod tym względem zupełne przeciwieństwo z Viniciuszem, który przechodzi długą drogę przemiany, powoli przetrawiając w sobie wszelką nową myśl, nowe uczucie. A właśnie w tem nagłym nawróceniu się greka widzimy wielkie mistrzostwo autora, który od razu używa najpotężniejszego dla podobnych natur motywu, wstrząsającego do głębi całym ich organizmem duchowym. Chilon jest tełhórzem i jak każdy tełhórz pomimo całej swej bezcelności nie znosi widoku krwi, na którą zmuszony jest patrzeć w cyrku. Widząc okrwawionych chrześcijan na arenie, mdleje nieraz, a wzmagać się przestrach i przerażenie budzi drżące gdzieś na dnie duszy sumienie, wyrzucające mu z całą surowością dotychczasowe życie w upodleniu. Pod wpływem tych wyrzutów zrozpaczony grek publicznie wskazuje cezara jako podpalacza Rzymu, pod ich wpływem staje się chrześcijaninem i następnie, przeniosłszy męki, zadawane mu przez Tigelina, umiera na krzyżu. Tak tedy pomimo wielkiego narazie zdumienia czytelnik, który ani na chwilę nie przypuszczał, by podobna natura mogła się poprawić, musi wkońcu uznać, że fakt tej poprawy i jej proces acz szybki jest najzupełniej zgodny z psychologią i nie grzeszy najmniejszym rozdzwikiem ani pod względem psychologicznym, ani pod względem artystycznego wykończenia.

Ostatnią wreszcie wybitniejszą postacią w powieści jest sam władca Rzymu Neron. Występuje on przed nami takim, jakim go historia przekazała potomności, t. j. nie jako imperator, trzymający w swych rękach ster rządu, ale wprost jako siedzący na tronie lichy, a zarozumiały wierszopis, muzyk, histrion, otoczony tłumem pochlebców i spędzający czas jedynie tylko na nieustannych popisach ze swoim talentem i uciechach, często przechodzących w bachanalie; jedyną i najważniejszą dla nas sceną, w której autor starał się bardziej pogłębić tę wyjątkowo chorobliwą naturę i przedstawić jako rzadki okaz patologiczny, jest rozmowa Nerona z gronem swych dworaków w Antium, w której spostrzegamy dziwną mieszaninę sprzeczności w naturze „boskiego” i górującej ponad wszystkie uczucia i namietności bezgraniczną chorobliwą żądzą sławy wiekopomnej. Ze taki właśnie okaz nie jest jednakże w powieści wycieniowany i uplastyczniony tak, jak np. Petroniusz albo Chilon, o to trudno autora obwiniać, bowiem podobne niesłychanie rzadkie objawy w dziedzinie patologii stanowią przekraczające granice możliwej obserwacji pisarza charakterów i typów ogólnej natury; wątpię, czy obecnie nawet ktoś ze specjalistów psychiatrów zdołałby mniej więcej dokładnie w umyśle swym odtworzyć i zrozumieć podobną postać Nerona; może w przyszłości, gdy psychologia w połączeniu z fizyologią należycie się rozwinie, będzie ona w szczegółach swych zrozumiała. W każdym razie Neron Sienkiewicza ukazuje się przed nami w oświetleniu o wiele efektowniej, jest dla naszej wyobraźni bardziej dostępnym, niż wszystkie dotychczasowe jego wizerunki w powieściopisarstwie historycznym.

Poza temi postaciami głównymi występuje w *Quo vadis* cały szereg figur drugorzędnych, zespólnych

z akcją utworu, jak Tigelinus, wódz pretoryanów, i inni zausznicy cezara, lyg Ursus, apostołowie Piotr i Paweł i t. d. Te dwie ostatnie postaci, aczkolwiek odegrały w Rzymie wielkiej doniosłości rolę, jednakże w powieści zeszły na stanowisko drugorzędne ze względu, że głównym tematem utworu nie jest walka dwóch światów: pogańskiego i chrześcijańskiego, a tylko miłość Viniciusza i Lygii, rozwinięta na tle tej walki. Skutkiem tego obaj ci apostołowie ukazują się jakby dorywczo tylko, rzadko występując w ruchu, akcyi i dlatego przeważnie poznajemy ich jeno z tych mów i nauk, które miewają przed zgromadzonymi słuchaczami.

Do urozmaicenia działania i dialogów występujących osób znacznie się przyczyniają w *Quo vadis* świetne niejednokrotnie epizody natury czysto opisowej. Wogóle są one wysoce efektowne, olśniewające czytelnika barwnym uwydatnieniem szczegółów, niesłychaną grą kolorów; taką jest np. uczta w pałacu Nerona, gdzie w powodzi światła uciętym tłum dworaków z cezarem na czele, popisującym się ze swojemi poezjami, a następnie nawpół pijany rozpoczyna bachanalie.

Takim również barwnym opisem odznacza się orgia na stawach Agryppy, lub wyjazd cezara z całym dworem do Antium. Są to wogóle świetne, pełne efektu małowidła, w których części pojedyncze odrobione bywają zazwyczaj bardzo starannie, natomiast całość mniej plastycznie się uwydatnia. Nie można tu również pominąć milezeniem różnych figur retorycznych użytych przez autora trafnie, lub dłuższych wyrażań wielce poetycznych, potęgujących znacznie wrażenie. Tak np. opis uczty u Nerona kończy Sienkiewicz słowy: „Większa część gości leżała już pod stołem; inni chodzili chwiejnym krokiem po tryklinium, inni spali na sofach stołowych, chrapiąc lub oddając przez sen zbyt wina, a na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycyuszki, na cały ten świat wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu, upiętego pod pałapem, kapąły i kapąły wciąż różę. „Na dworze poeżło świtać.” Piękniejszego rysunku a jędrnie w kilku śmiałych charakterystycznych zarysach na kreślonego chyba trudno żądać.

Ten sposób wywoływania efektu za pomocą jednego lub kilku zdań, częstokroć tworzących antytezę, właściwy jest wogóle Sienkiewiczowi, który używa go niejednokrotnie w różnych utworach swoich; tak np. w noweli *Janko muzykant*, gdy właściciele wioski, wróciwszy z zagranicy, zachwycają się Włochami, jako jedynym krajem, wydającym świetnych artystów, autor dodaje od siebie: „Nad Jankiem szumiały brzozy.” Tem krótkim, ale wielce poetycznym i jędrnym zdaniem, tworząc antytezę, kończąc swój utwór, powieściopisarz—poeta do głębi poruszył czytelnika. Ten sam sposób widzimy i w *Quo vadis*.

Taką jest powieść Sienkiewicza w pojedynczych postaciach i w szczegółach swoich, składających się na wytworzenie całości artystycznej. Gdyby była ona tylko galerią typów i charakterów, moglibyśmy śmiało poprzestać na tem, co się już o niej wyżej powiedziało; jednakże ze względu na to, iż jest to powieść historyczna, której zadaniem najwyższem, jak każdej takiej powieści, musi być wierna charakterystyka czasu, na którego tle jest osnutą, przeto zachodzi potrzeba przypatrzenia się jeszcze, o ile właśnie owe czasy Nerona znalazły dokładny swój wyraz w utworze.

Z chwilą upadku rzeszypolitej występują w Rzymie starożytnym widomie objawy tej choroby, co miała go w przyszłości o śmierć przyprowadzić. Gangrena społeczna przejmie organizm narodowy i wciąż postępuje naprzód, potęgując się zwykle wówczas, gdy na tronie siedzą również zgangrenowane jednostki, jak Tyberyusz, Neron, Heliogabal, dające sobą przykład wyuzdanej rozpusty. Taką właśnie chwilę szaleńczego i motłochu wybrał powieściopisarz, by na tle mroków ogólnych uwydatnić zaranie chrześcijaństwa. Czy istotnie o to szło autorowi? Czy głównym jego zadaniem było zestawienie z sobą dwóch światów: konającego pogaństwa i budzącego się do życia chrześcijaństwa? Tak powinno być, jeśli zgodzimy się na to, że powieść historyczna musi odtwarzać epokę, którą maluje. Atoli po przeczytaniu *Quo vadis* doznajemy takiego

wrażenia, jak gdyby powieści brakło czegoś, jak gdyby obraz był niekompletnym, a stąd fantazja czytelnika nie zostaje zadowolona całkowicie. Istotnie, pomimo przepysznego wyrzeźbienia szczegółów, pomimo dokładnego wielce wycieniowania postaci pojedynczych, które dobrze wyobrażają jednostki owoczesne, całość jednakże nie odtwarza nam dokładnie ducha zbiorowego ówczesnej Romy, która rozpoczęła konanie swoje „pod brylantowym krzesłem tyrańca.”

Autor główną osnową powieści uczynił miłość dwójga ludzi i właśnie odmalowaniu jej poświęcił się całkowicie, traktując po macoszemu nieraz to wszystko, co z nią ściślego związku nie miało; tem sobie można tłumaczyć zasłabłe oświetlenie takich postaci jak apostoł Piotr i Paweł, a także i zbyt pobieżne kronikarskie niemal traktowanie wypadków przy końcu utworu. Gdy historia Viniciusza i Lygii skończyła się pomyślnie, autor zaledwie w ogólnych zarysach nakreślił dalszy przebieg faktów, nie połączonych ściśle z główną osnową powieści, zbliżywszy się szybkim krokiem do końca. Czyżby tedy wybór tematu był przyczyną braku dokładnej charakterystyki społecznej? Wątpimy bardzo. Wszakże i w słynnej trylogii swojej Sienkiewicz tak samo miłość uczynił osnową opowiadania, ale tam dokoła niej zakreślił jeszcze bardzo rozległe koło spraw ogólnych i rzucił tysiące promieni w rozmaitych kierunkach działalności społecznej. Dlaczego nie postąpił tak samo i w *Quo vadis*, gdzie występuje Petroniusz, Viniciusz, Chilon, Neron i t. d., ale nie występuje w całej okazałości, w dokładnym oświetleniu świat pogański i chrześcijański? A od powieści historycznej i od pisarza takiej miary jak Sienkiewicz mamy zupełne prawo żądać tego.

Charakterystyczną wielocierczą jest to, że i współczesna ostatnia powieść Sienkiewicza *Rodzina Polanieckich* zupełnie pod tym względem jest podobną do *Quo vadis*; i w niej również zdumiewa nas głęboka znajomość duszy ludzkiej, wycieniowanie szczegółów, artystyczne ugrupowanie osób, ale zdumiewa nas jednocześnie i brak charakterystyki społecznej, brak jakiegokolwiek zajęcia się sprawami ogólnymi.

Na zakończenie należy tu zauważyć, że o ile Sienkiewicz jest wogóle w swych powieściach nieporównanym mistrzem w kreśleniu typów i charakterów pojedynczych, o tyle z drugiej strony zawsze słabo charakteryzuje psychologię mas. Właśnie w *Quo vadis* ta słaba strona talentu autora łatwo się daje spostrzedz, zwłaszcza w tej scenie, gdy wzbudzony tłum stoi, witając okrzykami gniewu pieśni cezara, śpiewającego wobec pożaru Rzymu. Ludu tego niemal nie widzimy na scenie; a uspakajanie go przez Petroniusza jest również dość niedokładnie wykonane. Tak samo podczas opisu przeciągającego drogą dworu Nerona, jadącego do Antium, lub igrzysk cyrkowych masy schodzą zawsze na plan dalszy, zaledwie kilku słabymi zarysowanymi rzutami pendzla. Może ta słaba strona Sienkiewicza stała się właśnie przyczyną słabej charakterystyki starożytnej Romy Nerona, a zwłaszcza społeczeństwa chrześcijańskiego? Może.

J. Nitowski.

Wędrowka przez Węgry.

(Dalszy ciąg).

* * *

Nie tak czysto, jak między ludnością wiejską przechował się pierwiastek madziarski w miastach, położonych w kotlinie między Cisą a Dunajem. Na nazwę miast w prawdziwym tego słowa znaczeniu nie wszystkie co prawda te miejscowości zasługują. Choć każde z nich posiada lepszą gospodę z pompatycznym napisem „kasyno,” w której można do-
baty zjeść, a jeszcze lepiej wypić, i gdzie wiecz-

rem rozlegają się wesołe tony czardasza, to jednak mają one wygląd bardzo wiejski. Domy rzadko wyższe nad jedno piętro, kryte przeważnie słomą, nierzadko przedstawiają oryginalną kombinację ubikacji mieszkalnych, sklepu, stodoły i stajni. Ulice szerokie i piaszczyste, rynek tylko brukowany ma pozór więcej miejski. Ale obok rolnictwa kwitnie tu handel i przemysł. Najwspanialej rozwinął się on w Debreczynie i Szegedynie; w obu tych miastach wre życie prawdziwie wielkomiejskie.

Posiadają one wspaniałe budowle, wygodne chodniki, piękne ogrody, dobre szkoły i wyborne teatry.

Pomiędzy zakładami fabrycznymi pierwsze miejsce zajmują tu młyny parowe, cukrownie, browary, cegielnie i fabryki maszyn. Drobnny przemysł pozostawił Madziar Słowianom, Niemcom i Rumunom, podczas gdy wielki przemysł spoczywa przeważnie w rękach żydowskich. Żydzi stanowią w tej pstrej mieszaninie ludności czynnik najruchliwszy. Z całą właściwą im żywością i sprytem umieją skorzystać z każdej okoliczności. Tuż obok niego, co się tyczy zamożności i — wielkiej ilości dzieci, stoi Rumun. Słowianin znacznie uboższy nie ustępuje im jednak w zręczności.

Ponad nimi wszystkimi góruje Madziar.

O ile nużącym i jednostajnym jest widok węgierskiej kotliny, jeżeli się na nią nie patrzy oczami poety, o tyle wysoce romantyczną jest Siedmiogrodzka wyżyna Karpacka. Te ostro w górę wstrzelające, wiecznym śniegiem pokryte skaliste wierzchołki gór, nad którymi szybuje wspaniały orzeł królewski, te bezdenne przepaście, nad którymi przeskakuje zwinna gienaza, ten dziki szum górskich potoków, wijących się wśród uroczych, gęstym lasem pokrytych dolin, wszystko to przedstawia wielką, miłe zmysły drażniącą rozmaitość. Zapalony myśliwy znajdzie tu łatwą zdobycz wśród mnóstwa lisów, wilków, a zwłaszcza niedźwiedzi, które w ostatnich dziesiątkach lat tak się tu rozmnożyły, że rząd węgierski ujrzał się zmuszonym wyznaczyć nagrodę za ich łepienie, płacąc pięć złr. za głowę, a 10 złr. za skórę niedźwiedzia. Na stokach gór znajdują się bogate pokłady żelaza i miedzi, soli i siarki, srebra i złota; obfite źródła mineralne tryskają z pod ziemi, które zwabiają rok rocznie do siedmiogrodzkich miejsc kąpielowych tysiące gości. Na równinach i w dolinach podgórza rodzi się obfite ziarno, które ze względu na swój ciężar, znacznie wyżej się ceni od węgierskiego. Prócz tego kwitnie tu uprawa winogron i hodowla jedwabników. Wina tutejsze mało w ogóle poza granicami kraju są rozpowszechnione, pomimo że znakomity Liebig jeszcze przed niespełna 40 laty wskazywał na ich doskonałość i nie wahał się porównywać ich z najlepszymi winami reńskimi. Miodu, który nigdzie chyba nie jest tak słodkim, znajdziesz tu również poddostatkiem.

Siedmiogród nazwał ktoś kiedyś „cudownym zakątkiem Europy“ i słusznie! Przyzna to każdy, kto się przypatrzy pstrej mieszaninie ludności, kraj ten zamieszkującej. Na północy i północnym zachodzie osiadła ludność czysto madziarska, której gałąź stanowią szeklerzy.

Potomkowie dawnych Hunnów stanowią oni najdawniejszą ludność kraju. Powierzchniowo niewiele się różnią od reszty madziarów; odznaczają się, równie jak i tamci swobodą i pewnością ruchów i silnie rozwiniętym poczuciem niezależności. Nie wyklucza to jednak, że są bardzo dobrymi żołnierzami, a jako wyborci jeźdźcy, dostarczają silnego kontyngensu kawalerii. Szeklerzy, równie jak i madziarzy są narodem par excellence rolniczym, a uprawa roli i chów bydła jest dla nich, tak jak dla ich pobratymców z puszczy, alfa i omega wszystkich czynności. W uroczych ich wioskach, świadczących o dobrobycie właścicieli i o upodobaniu do życia spokojnego, nierzadko spotykamy się

z objawami poczucia piękna. Kunsztownie rzeźbiona brama i drewniana weranda, zdobna w pobożne napisy, stanowi nicodłą część każdego niemal zabudowania gospodarskiego. Wielkie źródło dochodu dla Szeklera stanowi prócz zbytu produktów rolniczych także transport wód mineralnych do pobliskich miast, a zwłaszcza do Maros-Vasarhely, stolicy kraju. Pomimo sąsiedztwa licznych innych szczepów, potrafił on po dziś dzień, zachować swoją odrębność narodową; żadna siła nie zdołała go skłonić do nauczania się języka rumuńskiego, a sąsiedzi Sasi mają w nim nieprzejednanego wroga. Nie wyklucza to jednak, że dobro kraju leży mu bardzo na sercu, to też szczep ten wydał wielu znakomitych mężów, że wspomnimy tu tylko o węgierskim mężu stanu Andrassym.

W wędrówce naszej ku południowi, znajdziemy się po kilku dniach podróży, pośród innego szczepu. O uszy nasze obijają się niemieckie słowa, niemieckie nazwy miast jak Hermanstadt, Szässburg, Mühlbach, Kronstadt, obudzają w pamięci naszej wspomnienie, żeśmy podobne słyszeli już gdzieś nad Renem, w Wirtembergu i w Badeńskim; budowa domów, kierunek ulic, styl kościołów i publicznych gmachów, wszystko to nosi na sobie charakter czysto niemiecki. A i mieszkańcy, których tu spotykamy, zdradzają na każdym kroku swoje niemieckie pochodzenie. Rzadko kiedy bardzo wysokiego wzrostu, ale zawsze prawie silnej budowy ciała, o blond włosach i niebieskich oczach, na pierwszy już rzut oka dają nam poznać, że mamy do czynienia z potomkami starożytnych Teutonów. A jeszcze wyraźniej przebija się tu charakterystyczna cecha w obyczajach i w całym zachowaniu się. Mówią tylko po niemiecku, a w niektórych okolicach a szczególnie po wsiach używają nawet wykształceńsi narzecza nadreńskiego (plattdeutsch), co więcej, kazania nawet w tem narzeczu bywają wygłaszane.

Pierwsi Sasi przywędrowali tu jak historycznie stwierdzono z okolic nad dolnym Renem w połowie XII-go stulecia; w późniejszych czasach śladem ich poszli pobratymcy z Palatynatu, Bawarii i Szwabii zaproszeni do osiedlenia się tu przez króla Węgrów Gezę. Nad rzeką Cibin, która wypływa w Karpatach południowych u stóp góry Cindrel, założyli pierwszą kolonię t. zw. Cibinburg, dzisiejszy Hermanstadt. Wielu uczonych wywodzi od tej pierwszej osady nazwę kraju Siedmiogród, po niemiecku Siebenbürgen.

Liczne wykopaliska co krok tu napotykanne dowodzą, że zamieszkali tu Sasi odznaczali się od dawna wysokim rozwojem cywilizacyjnym. Przez swoją wrozoną wytrwałość i pilność stali się oni bardzo pożytecznym dla kraju pierwiastkiem.

Pomimo tylowieckiego oddalenia od swoich współbraci potrafili oni zachować pewną oryginalność narodową, która się przebiega szczególnie w towarzyskim ich życiu zwłaszcza po wsiach. Skoro tylko młody Sas wyjdzie z wieku szkolnego, wstępuje do „bractwa“, mającego na celu krzewienie moralności, co nie wyklucza jednak możliwości używania uciech i rozrywek tego świata.

Na czele takiego bractwa stoi miejscowy ksiądz, któremu do pomocy dodani są czterej najstarsi obywateli. Statuta tego bractwa orzekają między innymi, że wszystkie spory i nieporozumienia rozstrzygane być winny przez członków bez uciekania się pod opiekę sądu. Z chwilą wstąpienia w związki małżeńskie ustaje przynależność do bractwa, i żonaty Sas wstępuje do t. zw. „sąsiedztwa“. Stowarzyszenie to, na którego czele stoi również miejscowy ksiądz z dodanymi mu czterema obywatelami, ma na celu pomoc wzajemną, utrzymanie porządku społecznego, krzewienie moralności i zasad religijnych. Dwa te urządzenia stały się podstawą życia społecznego i towarzyskiego Sasów, z nich

z biegiem czasu rozwinął się samorząd gminny, który dziś w obec ciągłych usiłowań Madziarów dążących do zassymilowania wszystkich narodów, stał się illuzją. Żywił saski pod wpływem tych nieprzyjajnych okoliczności rozpada się coraz bardziej; ogólna liczba zamieszkująca dziś Siedmiogród Sasów dochodzi zaledwie do 200,000 głów.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Zarząd naszego miasta postanowił ogłosić z końcem bieżącego roku konkurs na wzniesienie nowego zegaru ra'uszowego. Kilka zakładów zegarmistrzowskich postanowiło wystąpić z projektem.

— Rozpoczęta została na placu kościoła S-go Augustyna budowa przytułku kalek i nieuleczalnie chorych S-go Stanisława Kostki. Nowy gmach dobrotliwej tej instytucji wzniesionym będzie według planu budowniczego Hussa i pomieści około 150 pensjonarzy w połowie mężczyzn, w połowie kobiet, oraz sierot. Oprócz sal ogólnych mieścić się będą i sale oddzielne, jedna z nich nosić ma imię ś. p. Heleny Mokijewskiej; rada opiekuńcza podjęła to dzieło nie posiadając funduszu dostatecznego licząc na ofiarności ludzi dobrej woli i litościwego serca.

— Na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa przeciwbractw, któremu przewodniczył wice-prezes ks. Chelwicki, podniesiono przedmiot budowy stałego przytułku dla starców i kalek. Odczytane sprawozdanie za maj wykazało, że dochód wraz z rezerwą z miesiąca poprzedniego wynosił 16,258 rs., rozechód 5,405, czyli że na miesiąc czerwiec pozostało 10,852 rs., i coś drobnego. Następne posiedzenie zbierze się we wrześniu.

— Krakowska szkoła dla kobiet służących, założona i utrzymywana przez Towarzystwo oświaty, zakończyła tegoroczną czynność swoją wielce pożyteczną. Szkoła daje bezpłatnie naukę czytania, pisanie, rachunków i oświeca umysł wiedzą niezbędną dla człowieka, aby wiedział co jest złem, co dobrem. Istnieje już ona lat siedem, mieszcząc zawsze liczne grono uczennic, których w tym roku szkolnym było 304.

— We Lwowie urządzają w Salach kasyna miejskiego malarze i rzeźbiarze wieczór, który będzie przedstawiał kiermasz na tle starożytnego Lwowa w XVI i XVII wieku. Obok tego niestającą wystawę przemysłową urządziło Towarzystwo zachęty przemysłu, zawiązane przed rokiem.

— Konsulat austriacki w Genui przesłał do Lwowa zawiadomienie, otrzymane od konsulatu brazylijskiego, że bezpłatny przewóz wychodźców do wszystkich Stanów Brazylii zupełnie wstrzymano. Konsulat austriacki w Brazylii, w mieście San Paulo, w stanie teje nazwy, utworzonym został z celem głównym opiekowania się emigrantami galicyjskimi, których fermerowie brazylijscy wyzyskują niezmiernie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 11-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie, przez C. H. — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego (dokończenie). — Wędrówka przez Węgry (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 11-ty. — Przegląd mód. 15 wzorów i robót z opisem Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.